

Eliminacje powiatowe — drogowskazem

Powiatowe eliminacje amatorskich zespołów artystycznych dobiegają końca. W większości powiatów odbyły się już konkursowe występy, w których członkowie zespołów walczyli ambitnie o palmę pierwszeństwa.

Eliminacje stały się przeglądem dorobku kulturalnego wielkopolskiej wsi i odsłoniły bogaty, świeży zasób możliwości, jeszcze często nie rozwiniętych. Patrząc na tę młodą, kształtującą się dopiero kulturę nie wolno nam zapomnieć ani na chwilę, o konieczności i obowiązku otoczenia jej jak najtroskliwszą i jak najbardziej wszechstronną opieką.

W Wolsztynie stanęło do eliminacji 7 zespołów teatralnych, 6 zespołów pieśni i tańca oraz 1 teatrzyk kukielkowy. Samo miasto zgłosiło do konkursu tylko 2 zespoły. Repertuar sceniczny odznaczał się wielką różnorodnością — obok sztuk współczesnych, takich jak np. „Dwa tygodnie w raju”, czy w „Rodzinnym domu” — pokazano „Grzeszników bez winy” — sztukę trudną w wykonaniu i nie często oglądaną na naszych scenach, wreszcie pozycje naszych klasyków-dramaturgów, a więc Fredry czy Zabłockiego.

Starsze pokolenie — w natarciu

I miejsce przyznano zespołowi z Borujki za wystawienie sztuki „W rodzinnym domu”. Z zespołów pieśni i tańca najlepsze były — Kopanica i Siedlec.

Zespół z gromady Borujka jest młody, założony zaledwie kilka miesięcy temu. Przyczyny sukcesu nie należy zatem dopatrywać się w rutynie i doświadczeniu artystów i kierownika. Spróbujmy poszukać jej gdzie indziej. Kiedy na scenie pojawiła się kłótnia i chytra gospodyni wiejska, kiedy rozpoczęła się gwałtowna sprzeczka pomiędzy młodym, buntującym się chłopcem, a starymi kulkami — na sali zerwała się burza oklasków. Te postacie były tak przekonujące i autentyczne, tak swobodne i udane w grze i wyrazie — że dorównywały niemal kreacjom artystów zawodowych. Ten efekt sceniczny osiągnięto bardzo prostymi, choć niewątpliwie wymagającymi nieco zabiegów i starań — środkami. Do współpracy w zespole wciągnięto także gospodarzy starszych — rodziców, krewnych i znajomych. Dlatego też 70-letniego kulaka nie musiał grać 17-letni chłopak z groteskowo wypchanym brzuchem i odpadającymi, papierowymi wąsami, a stara matka nie przemawiała ze sceny cieniutkim głosem uczonego.

Ci najstarsi w zespole artyści są nie tylko doskonałymi na scenie — wielu młodym chłopcom i dziewczętom posłużyć by mogła za wzór Gertruda Mikołajskiego, czy Zofia Opalowa, choć obok wielu zajęć w gospodarstwie, zawsze znajdują czas na próbę. Podobnie Nikodem Domagała przoduje w punktualności i dokładnie przestrzega terminów prób (nawet w najcięższych mroźnych) — mimo iż dojeżdża na nie z sąsiedniej wsi.

Ważny jest także sam wybór sztuki. Niewątpliwie łatwiej było odtworzyć na scenie życie wiejskiej rodziny z jej kłopotami i zainteresowaniami podobnymi do własnych — niż wczuć się i odegrać przekonującego ludzkiego z XIX-wiecznych salonów.

Zespół pieśni i tańca z Siedleca — ma już za sobą wiele doświadczeń i osiągnięć. Założyła go młodzież zetembowska w 1952 r., w okresie przedwyborczym, pragnąc dopomóc w pracy miejscowemu aktywowi. Tamte czasy wspominają dziś młodzi artyści jako swój „chrzest bojowy”, który ich zahartował.

Teraz już się nasz zespół nie rozpada! — zapewnia z dużą dozą pewnością siebie jego kierownik, Józef Nowak.

Zespół oparł swą pracę na zwartym kolektywie i korzysta ze stałej opieki ze strony GRN, nauczyciela, ZMP i innych organizacji. Nie dziwnego zatem, że praca jego szybko zaczęła dawać pomyślne rezultaty. Dyplom uznania na zeszłorocznych eliminacjach powiatowych, wyróżnienie na eliminacjach wojewódzkich SP, nagroda od WRN w postaci wspaniałego akordeonu — i wreszcie ten ostatni, tegoroczny sukces.

Opieka rad narodowych — pierwszą potrzebą

W Wągrowcu publiczność podziwiała aż 15 zespołów — przeważały wśród nich zespoły pieśni i tańca, wzbudzające

szczególny entuzjazm tańcami i pieśniami regionalnymi oraz wspaniałymi, oryginalnymi strojami. Zespołów teatralnych zabrakło, a poza tym ogólny poziom wągrowieckich eliminacji był raczej niski. Poszukajmy i tutaj przyczyn.

Zofia Kędziora — kierowniczka zespołu z Tarnowa Podgórnego, opowiada raz jeszcze o swoich kłopotach, chociaż opowiadała już o nich wielokrotnie, szukając i domagając się opieki. Członkom zespołu, którzy zaczęli pracować już w 1946 r., nikt nie przyszedł z pomocą. Zdani na własne siły, nie podolali trudności i zespół rozpadł się. Dopiero w roku 1953 przywrócono go do życia, ale okazało się, że w Tarnowie Podgórnym niewiele się zmieniło pod względem troski o kulturę wsi. Dotychczas nie postarano się o lokal na świetlicę, mimo iż zespół kilkakrotnie zwracał się z tym i do GRN, zarządu spółdzielni produkcyjnej i wreszcie do sądu. Żadna z tych instytucji nie uważała sprawy świetlicy i zespołu za dość ważną, by mogła stać się przedmiotem ich starań i opieki.

W rezultacie członkowie pozostawieni są jak dawniej (jak siedem lat temu!) samym sobie i trzymają zespół tylko siłą własnego zapału i prawdziwej obojętności do rzetelnej pracy. Nie wiele lepiej wygląda sytuacja w innych gromadach powiatu wągrowieckiego, o czym świad-

czy ogólny poziom eliminacji. Wyraża to wskazówka (więcej — sygnał ostrzegawczy!) dla dalszej pracy oddziałów kultury PRN. Muszą one większą troską otoczyć życie i zespoły świetlicowe.

Kilka uwag ogólnych

Kaliskie np. zespoły nie stały do konkursu w komplecie, a winy za to należy znowu szukać w wydziale kultury PRN, który nie pomyślał o przydzieleniu świetlicom zawodowych instruktorów i etatowych kierowników. Zespoły zdane na własne siły nie zawsze umiały sobie poradzić z opracowaniem repertuaru i często z tego powodu rezygnowały z udziału w eliminacjach.

Plynie więc z eliminacji przeprowadzonych, jako przygotowanie do festiwalu z okazji X rocznicy PRL, pierwszy wniosek: konieczność zrewidowania stosunku rad narodowych (nie tylko samych oddziałów kultury) do ruchu świetlicowego. Sama rejestracja i sprawozdawczość nie wystarczy. Zapał młodzieży jest duży — trzeba go jednak wesprzeć fachową radą i pomocą.

Ponadto warto również pomyśleć o ożywieniu zespołów w miastach powiatowych, które w eliminacjach wypadły bardzo blisko. (Podobnie jak i zespoły szkolne, które zgłosiły swój udział w większej liczbie tylko we Wrześni).

A teraz pod rozważę członków zespołu. Do współpracy powinniśmy wciągać nie tylko młodzież lecz także starszych, co — zwłaszcza w zespołach teatralnych — przynieść może niezwykle cenne osiągnięcia.

WANDA CHILA

Gdy w Poznaniu gospodarowała endecja (3)

Wystające z worka sztydło

Gdy petla kryzysu gospodarczego zaczęła w roku 1980 zaciskać się coraz szerszej, panowie radni miejscy Poznania różne wysuwali propozycje, by ratować własną skórę. Propozycje ich nie miały nic wspólnego ani z interesem społecznym, ani nawet z burżuazyjną nauką o ekonomii.

Każdy mowa endecji czy chadecji jak potrafił, tak kruszył kopie o swoje małe i duże interesy, a z wysypianego na trybunie rady miejskiej worka frazesów, zawsze wystawało — klasowe sztydło.

Miejski majątek

— w prywatne ręce

Taki tytuł można by dać przemówieniu rzecznika frakcji endeckiej na sesji budżetowej 26. 2. 1980 roku. Pan „wyższy radca krajowy” Bolesław Wybieralski mówił o tym tak (cytuje z protokołu):

„Narodowe Koło Gospodarcze pragnie aby miasto zaniechało, na razie przynajmniej, zbyt forsownych inwestycji. Magistrat powinien dążyć do tego, aby nie wpuszczano do miasta bezdomnych i bezrobotnych spoza jego obręb. ...Narodowe Koło Gospodarcze zamierza zwalczać wszelkie e t a t y z m miejski (mowa o przedsiębiorstwach komunalnych — przyp. red.), który tylko podejma byt zarobkowy (burżuazji, a nie robotnikom, rzecz oczywista). Dlatego skreślił w budżecie 10 procent na utrzymanie warsztatów, będących w zarządzie miasta i dążyć będziemy do tego, aby z czasem zlikwidować w s z y s t k i e warsztaty miejskie. W związku z tym należałoby się zastanowić, czy nie zalecałoby się taboru miejskiego czyszczenia ulic itp. przedsiębiorstw oddać w administrację p r y w a t n y c h osób... (podkreślenia redakcji).

A więc — mamy już z grubszą przedstawioną program „ekonomiczny” większości endeckiej. Inwestycje wstrzymać. Zbudować mosty zwodzone, urządzić łapanki na bezdomnych i bezrobotnych — do miasta takich pod żadnym pozorem nie wpuszczać. Bezrobocie bowiem, według lansowanej wówczas przez burżuazję naszego miasta teorii, miało swoją przyczynę nie w sprzecznościach w stosunku kapitalistycznego: w zamknięciu przedsiębiorstw, masowych redukcjach, zastój w produkcji i pracy dwa lub trzy dni w tygodniu — lecz po pro-

stu w... napływie elementów spoza granic miasta. Nawet burżuazyjna ekonomia jest w tej materii nieco odmiennego zdania, lecz to „pp. radnych” nie zrażało. Mówili swoje dalej. Podejmowali odmienne uchwały, a pan Wybieralski ma jeszcze inne projekty.

Względy „pedagogiczne”

Przedsiębiorstwa magistrackie zlikwidować. Dlaczego? Prosta rzecz — aby dać zastrzyk zysków podupadającym kupcom i przemysłowcom, a więc tym, których interesy reprezentował p. „wyższy radca krajowy”. Niechby sobie napchali trochę kieszenie magistrackim majątkiem! A że będzie to kosztem społeczeństwa, jego oświaty i kultury — nie ważne. Oto bowiem, co dalej, jednym tchem, wygłasza mentor patrycjatu Poznania.

„co do budżetu oświaty, to załóżmy, że w tym roku nie mogliśmy uchwalic proponowanej przez magistrat kwoty na te cele, choć przyznać trzeba, że właściwie byłoby to ze względów pedagogicznych konieczne...”

Pan Wybieralski miał jednak nie tylko pedagogiczne cele na uwadze. Nie chodziło mu bowiem o umasowanie oświaty i kultury wśród mas pracujących. Nieco dalej powiedział bowiem:

„Warto jednak w Poznaniu za mało świątyn. Starać się przeto będziemy, aby na rzecz kościołów wyznaczyć pewne subwencje. Jest to tym bardziej wskazane dziś, gdy bolszewizm coraz jawniej wkłada się do społeczeństwa naszego. Należy równocześnie wyrazić uznanie naszemu władzom policyjnym, które mają obecnie bardzo trudne zadanie, zwłaszcza na przedmieściach (tam, gdzie mieszkała klasa robotnicza — przyp. red.). Domagać się przeto należy u władz centralnych, aby wobec trudnych warunków, w jakich polcja się znajduje, szereg jej wzmożono...”

Warto zwrócić uwagę na zestawienie programu zreferowanego przez p. Wybieralskiego: zaczął od „uprzywilejnia” publicznych przedsiębiorstw, a skończył na żądaniu zwiększenia stanu policji.

Jak zużywać pożyczki?

Tym zagadnieniem zajął się przywódca drugiej burżuazyj-

nej frakcji rady miejskiej reprezentującej przede wszystkim poznańskie drobniocześnictwo. Mowa o chadecji i p. Tyleczyńskim. Oświadczył on co następuje:

„przy liczbie 160.000 mieszkańców w 1913 roku było płaćcych podatki obywateli 33 proc., zaś w roku 1928 przy 240.000 mieszkańców zaledwie 3 proc...”

Wniosek z tego prosty — mówił rzecznik interesów mniejszych kupców i rzemieślników — społeczeństwo zubożało. Rozdzierał nad tym zjawiskiem szaty:

„wyczerpane podatkami społeczeństwo komornik podatkowy niszczy do reszty, narażając nie tylko mieszkania prywatne, ale przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe na publiczną wyprzedaż. Jeżeli Magistrat nie spowoduje nagłe zmiany na lepsze, na teneczka stworzyć się może taka możliwość, że na składniach magistrackich spoczną wszystkie warsztaty i przedsiębiorstwa...”

Jako wyjście z sytuacji proponował:

„zaciągnięcie długoterminowej pożyczki na warunkach dogodnych, by stworzyć tak bardzo potrzebny u nas ruch budowlany. Podkreślić jednak pragnięmy z całą stanowczością to, co powtarzamy corocznie, że pożyczek tych należy używać na kredyty dla społeczeństwa (chodzi o prywatną inicjatywę — przyp. red.), które akcje budowlaną nie wątpliwie podniesie. Magistrat we własnym zakresie domów czynszowych, za wyjątkiem kolonii robotniczych, budować nie powinien...”

Mamy więc oto drugi program. Pożyczki zagraniczne, spadające brzemieniem na społeczeństwo i gospodarkę magistracką — według żądań chadecji, mlecznych braci „narodowców” — powinien zarząd miejski zużyć na pomoc finansową dla drobniocześnictwa i burżuazji. Niemniemieli charakterystycznym jest przy tym fakt, iż p. Tyleczyński postuluje, by Magistrat nie budował domów czynszowych, a tylko kolonii robotnicze. Te ostatnie bowiem, z racji ogromnego zubożenia klasy robotniczej i wzrastającego bezrobocia miałyby charakter deficytowy. Lokatorzy nie mogli płacić najmu. Kamienne czynszowe natomiast, przeznaczane dla zamożnych, przynosiły poważne dochody, o które klasom posiadającym chodziło.

JANUSZ LIKOWSKI

ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok V. numer 14

Niedziela, 11 IV 1954

ZIEMIA gromadzi ślady przeszłości

Julian Mikołajczak

dawniejszych społeczeństw i kultur.

Ludzie, którzy tej dziedzinie nauki poświęcają swe uzdolnienia i siły całego życia — to fanatycy prawdy, z nieubłaganą konsekwencją tropiący ślady przeszłości.

Spójrzmy oto na cztery dziesiątki pracujących lat, które prof. dr Józef Kostrzewski poświęcił na wyłuskiwanie z ziemi śladów minionych wieków. Trudem zbyt mozolnym byłoby rejestrowanie wszystkich wysiłków, jakie myśl uczonego podjęła dla przybliżenia nam świata prehistorii. W życiu naukowca-archeologa widocznym rezultatem twórczych dociekań jest zarówno plon odkryć wykopaliskowych, jak i dorobek naukowej literatury. U profesora Kostrzewskiego jedna dziedzina nie ustępuje drugiej. Przy biurku pracowni, wypełnionej tomami wielojęzycznej biblioteki, rodziła się synteza myśli badawczej, zawartych w 700 ogłoszonych pracach. Bodźcem jej są dzieła szałasów, wykopalisk cmentarnych, rozkopanych kurhanów — na całym obszarze ziem zachodniej Polski.

Pamiętamy dobrze pracę „Wielkopolska w czasach prehistorycznych” ogłoszoną czterdzieści lat temu w roku objęcia przez prof. Kostrzewskiego funkcji „II konserwatora” w Muzeum Pozn. Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1914). Pamiętamy i cieszymy się, że jej trzecie wydanie przygotowuje wrocławskie „Ossolineum”.

W okresie po I wojnie światowej pióro i łopata archeologa dobrze przysłużyły się u dokumentowaniu polskośći ziem uwolnionych spod zabory pruskiego. Odkrycia wykopaliskowe na Pomorzu i Śląsku rozszerzyły naszą wiedzę o słowiańskich pramieszkańcach tych ziem. Prawda, o której mówiły skarby ziemi, nie była miła uszom pruskich uczonych, podenerwowanych faktem, że ktoś za jednym zamachem obalał ich mozolnie gruntowane teorie.

Nagonka na polskiego archeologa rozpętała się na dobre, kiedy to w roku 1936 prof. Kostrzewski krytycznie skomentował pracę jednego z rasistów niemieckich: „Neue Grundlagen der Rassenforschung”. Autor tej pracy twierdził, że tylko nordycy są ludźmi, inni zaś — zwierzętami, lub w najlepszym razie formą przejściową między człowiekiem a zwierzęciem.

Poznański profesor w jednym z numerów pisma archeologicznego „Z otchłani wieków” odpowiedział, że w świetle tych wywodów Hitler i Goebbels, jako osobnicy typu nienordyckiego, nie byłiby ludźmi, a całe prawie południowe Niemcy z wybitną przewagą rasy alpejskiej tworzyłyby jeden wielki... zwierzyńiec. Książkę z kompromitującymi teoriami krótko wycofano, a

grupa niemieckich „naukowców”-szowinistów usi-

lowała poprzez ówczesnego ambasadora Polski w Berlinie — Lipskiego spowodować utracenie prof. Kostrzewskiego za „psucie dobrych stosunków polsko-niemieckich”.

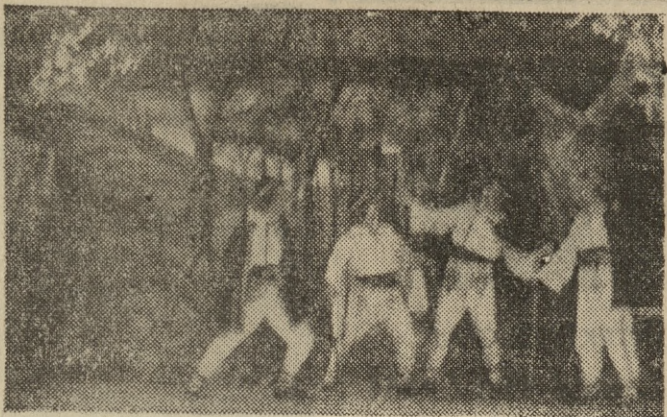
Głównym reżyserem tej hecy był niejaki Bolko v. Richthofen, profesor archeologii w Królewcu. Dziś ten sam „naukowiec” już jako Bodo Richthoven jest przywódcą jednej z szowinistycznych organizacji odwetowych w Niemczech zachodnich. Sprawę przypomnieli sobie w 1939 roku, wkraczający do Poznania hitlerowcy, wydając — na szczęście bez rezultatu — rozkaz aresztowania „mściciela prawdy historycznej”.

Rewelacją w świecie archeologii, która z nazwiskiem profesora Kostrzewskiego wiąże się w sposób trwały — to pokazanie nam — Biskupina. Po raz pierwszy nie tylko w Polsce, ale na całym obszarze prastowiańskiej kultury „łuzyckiej” uzyskaliśmy tak pełny obraz życia naszych przodków sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Biskupin uczy, że plemiona prastowiańskie, to nie na wpół koczownicza ludność — jak dotąd mniemano — mieszkająca w szałasach skleconych z gałęzi, żyjąca z polowania i rybactwa, ale że nasi przodkowie prastowiańscy byli osiadłymi rolnikami i hodowcami, budującymi zwarte osiedla.

Biskupin (nazwę tę spotkamy już w encyklopediach całego świata), rzucił więc nowe, odkrywcze światło na stan kultury materialnej prastowian we wczesnym okresie żelaznym, dając nam pewne pojęcie o istniejącej ówczesnie formacji społecznej (ustrój rodowy).

Plon znalezisk także poza Biskupinem jest nader bogaty i tylko niektóre tu wspomnimy: kęgi i kurhany kamienne w Odrach w pow. chojnickim na Pomorzu, osada z epoki kamiennej w Luboniu, mogiły kamienne w Stężycy na Pomorzu, cmentarzysko z okresu późno-lateńskiego i rzymskiego w Oksywiu, osada rybacka w Rzućwie pod Puckiem, grodzisko kultury łuzyckiej w Komorowie, w pow. szamotulskim, osada wczesnośredniowieczna w Syryni w pow. rybnickim na Śląsku itd.

Ziemia odsłania swe wnętrza i pozwala sobie wydźierać tajemnice przeszłości. Oko uczonego i jego współpracowników rejestruje znalezione relikty, a twórca wyobraźni buduje obraz rzeczywistości sprzed wielu, wielu wieków.



Scena zbiorowa z komedii-opey Wojciecha Bogusławskiego, wystawionej na scenie Powiatowego Domu Kultury w Środzie.

Czego pragnie czytelnik książek?

Nauka i klasyka w zgodzie z współczesnością i przygodą

Sprawą budzącą radość jest sam fakt, że czytelnicy dokładnie przeczytali swe potrzeby — wiedząc, że mogą swym głosem wpłynąć na to, co ukaże się na półkach księgarskich. Tkwi w tym głębokie przekonanie o tym, że — jak powiedział na II Zjeździe PZPR min. Sokor-

ski — sztuka i artyści ją tworzący spełniają „służebną” w stosunku do narodu rolę”. W tej myśli drukujemy niniejsze uwagi po zamknięciu konkursu czytelniczego.

Pragnienie nauki

Tak można by określić pierwszy wynik ankiety. Czytelnik chce się nie tylko zabawić książką — pragnie rozszerzyć swoje horyzonty. Co ciekawsze — stawia konkretne wymagania, mówi czego mu brak. Chce wiedzieć obszerniej (a popularnie!) o problemach filozofii, astronomii, o ruchu robotniczym w okresie międzywojennym, przyrodzie, współczesnych zagadnieniach społecznych. Ogromna ilość wypowiedzi domaga się wręcz wydawnictw dotyczących zagadnień moralności w społeczeństwie socjalistycznym, lub problemów pedagogicznych. Nazwisko wspa- niałego wychowawcy radzieckiego Makarenki powtarza się na wielu kartkach.

Trzeba przyznać, że z pewnym zdumieniem patrzymy na pierwszy wniosek. Wydawało się nam, że tego rodzaju wydawnictwo jest sporo i są dostępne każdemu. Tymczasem czytelnik w ankiecie powiada wyraźnie: „Chcę jeszcze więcej — tylko podajcie mi to prościej, łatwiej, bym bez trudu mógł problemy filozofii, a nawet wyższej fizyki i moralności socjalistycznej zrozumieć, nauczyć się czegoś i mądrzej postępować w życiu”. Na wielu odpowiedziach znajdujemy inną wersję tej samej potrzeby: chodzi o powieści, których fabuła będzie w sposób ciekawy, pozbawiony nudy, a jednak ściśle uczyła zdobywać wiedzę i umiejętność współżycia z ludźmi.

Tolstoj i „belki ciągłe”

Jeden z odpowiadających na ankietę jednym temem odpowiedział na pytanie „co chce czytać: „Wojna i pokój” Tolstoj a następnie — „Obliczanie belek ciągłych” inż. Tomasa Kluzę.

Musimy przyznać się szczerze do niewiedzy w zakresie belek ciągłych; jest to dla pi-

szacego te słowa sprawa dość odległa. Bliskie jednak jest zestawienie obu tytułów. Młody (nie przekroczył jeszcze 30 lat) inżynier chce nie tylko pogłębiać swe wiadomości; pragnie literatury pięknej w najlepszym „gatunku”. Znajduje ją w klasykach: Sienkiewicz, Bolesławie Prusie, Tolstoj, Mickiewicz, Słowackim, Żeromskim (chodzi o wydania „wszystkie”!).

Nie on jeden dał podobną odpowiedź. Żądanie dobrych książek fachowych, zajmujących się wąskimi zagadnieniami specjalizacyjnymi, powtarza się bardzo często w zestawieniu z największymi nazwiskami historii literatury polskiej i światowej. Czytelnik domaga się kompletu dzieł Balzaka i wszystkich przekładów Boy’a, Stendhala, Romain Rollanda, Byron’a (tak!) z zachodniej literatury, a z rosyjskiej na przykład przede wszystkim Tolstoj’a (obu Aleksego i Lwa), Erenburga, Szolochowa („Cichy Don” niemal w połowie odpowiedzi) itd.

Zresztą to stwierdzenie nie jest dla księgarzy i wydawców żadną rewelacją — społeczeństwo nasze potrafi wchłonąć wprost nieprawdopodobne ilości egzemplarzy autorów klasycznych. Wynika to z głodu kultury i awansu czytelniczego całego narodu. Dawniej tylko elitarna warstwa inteligencji, burżuazji i ewentualnie drobniemiśszczyństwa brała do ręki powieści wielkich koryfeuszów pióra. Dziś nie w przenośni, a w życiu praktycznym zawędrowali oni „pod strzechy”, do każdego domu. Dziś nikt się nie zdziwi robotnikowi czytającemu np. Balzaka lub Tolstoj’a. Z drugiej strony położenie tamy zalewowi podłej szmiry sensacyjno-erotycznej — różnych Nasielskich, Mniszkówn, Zarzyckich, Nordenów oraz wielu innych, zapomnianych z nazwiska — wróciło nowego czytelnika literaturze naprawdę pięknej. Fakt ten jednak nie zaspokoili głodu przygody.

Pilna potrzeba przygody

Ankieta, zbiorowy, kolektywny czytelnik powiada tak mniej więcej: „Owszem, bardzo po-

„Dom Książki” przy udziale redakcji „Gazety Poznańskiej” i „Głosu Wielkopolskiego” zorganizował wielki konkurs czytelnicy. Jak wie- dza jego uczestnicy, oprócz pytań konkursowych (na które ogromna większość odpowiedziała bezbłędnie, co świadczy o znajomości współ-czesnych autorów), do kuponu dołączono ankietę. Odbiorca książki miał w niej wyrazić pragnienia: co chciałby czytać, jaka tematyka najbardziej go interesuje, co należałoby wznowić itd. Trudno by wymienić wszystkie tytuły, których wznowienia domagają się miłośnicy książek — zajęło by to co najmniej całą stronę naszej gazety, a nam przecież nie chodzi o statystyczne wyniki ankiety, którą zajmują się biura studiów centralnych instytucji wydawniczych, a o kilka uwag nasuwających się po przejrzeniu kartek ankiety.

trzebują książek klasyków, pod- ręczników naukowych, facho- wych, o problematyce społecz- nej, ale poza tym mam słuszną prawo żądać, bym mógł się ro- zerwać. Potrzebuję lektury do- poduszki, na wczasy, gdy deszcz pada, lub wówczas, gdy zmęczony jestem pracą lub na- uką, a nie chce mi się iść do ki- na”. Słuszne żądanie? Oczy- wiście, że słuszne. Zresztą czy- telnik nawet autorom współ- czesnym i instytucjom wyda- wczym wyraźnie odpowiada, o jakiego rodzaju powieści mu- chodzi.

Owszem, znalazło się paru amatorów Sherlocka Holmes’a oraz kilku Leblanc’a, lecz są oni nader rzadkimi wyjątkami. Nie tą drogą ów masowy, ty- siąckrotny czytelnik chce zaspoko- kać pragnienie literatury, w czasie czytania której czasami przechodzi dreszczek podniece- nia. Powieści sportowe, podróż- nicze opowiadające o geografii dalekich krajów, o walce ludów kolonialnych, egzotyka krajów tropikalnych (lub północnych), walka z przyrodą ludzi ra- dzieckich, walka postępowych działaczy z uciskiem kapi- talistycznym, a wreszcie po- wieść fantastyczno-naukowa jest formą beletrystyki, której domaga się rzesze czytelnice. Poza tym liczne są głosy, po- wtarzające się niezmiennie: „Chcemy wznowienia Londona, Curwooda i... Szpanowa (Pod- zegace)”. Okazuje się bowiem, że najbardziej pasjonującą współczesnego czytelnika jest powieść, której można by na- dać miano sensacyjno-politycz- nej. Zwykle, konwencjonalne powieści do szpiegowsko-kry- minalne już naszego czytelnika nie bawi. On chce więcej! Na- wet o tym konkretnie pisze: „Pragnę czytać powieści przy- godnicze i sensacyjne, lecz na- pisane pięknym języ- kiem, opisujące prawdę o walce ludzi postępowych z wstecznictwem”.

„Miłość w ustroju socjalistycznym”

Te słowa napisał jeden z czy- telników. Chce on powieści, która ukaże mu najbardziej o- sobiste problemy stosunku dwu ludzi kochających się, właśnie w chwili współczesnej. Oto po- twierdzenie słuszności krytyki, z jaką spotykają się nasi pisa- rze. — Poruszajcie bliskie każ- demu człowiekowi zagadnienia, wejdźcie w piórem w życie co- dzienne, skomentujcie je, po- każcie, jak ludzie mogą żyć, jak mogą budować swoje szczę- ście, jak unikać przykrych kon- fliktów, jak usuwać przeszkody, trudności, jak budować zbioro- we szczęście narodu. Ale — za- strzegają się czytelnicy — nie chcemy nudziarstwa i mędrko- wania. „Powieść współczesna musi być życiowa i ciekawa” — stwierdza jedna z odpowiedzi.

Jeśli już mowa o współcze- sności, to trzeba powiedzieć, że poważny procent wypowiedzi domaga się dobrych powieści „o walce klasowej na wsi, i spółdzielczości produkcyjnej, tak jak to napisał Szolochow w „Zaorany igrzysko...” (cytat jednego z 600 nadesłanych po- za ankietą listów). Niestety jeszcze się polski Szolochow nie objawił, lecz może głos któ- regoś z naszych pisarzy za- birmi na tak potężną nutę?

Wielu uczestników ankiety pragnęłoby również więcej po- wieści o ruchu robotniczym (także z dziejów Wielkopolski!) — takiej jak „Pamiętka z Ce- lulozy” lub o kłesie i przychy- nach „Września”, walkach par- tyzanckich i II wojnie świato- wej.

J. MIL

„Szczęśliwi ludzie do tańca wstają”

Tak mówi jedna z piosenek kaszubskich. Prawdę tych słów można dziś znaleźć wszę- dzie. W pracy i domu, na wsi i w mieście. Radość stała się nieodłączną częścią naszego ży- cia, a szczególnie młodzieży, której przyszłość pełna jest pięknych perspektyw.

Ewunia zmyliła krok

Tuż przy ulicy Sportowej w Środzie stoi, otoczony pierście- niem niewielkich kamieni, ol- brzymi czerwony dom. Znają go wszyscy mieszkańcy — to Powiatowy Dom Kultury.

Przez szeroko otwarte okna płynie skoczna melodia. Cięż- kie, dębowe drzwi zamykają się za wchodzącymi. Przecięt- nie przewija się tu codziennie ponad 200 osób, a w niedzie- lę lub wówczas, gdy odbywa- ją się imprezy, liczba ta wzra- sta do tysiąca. Rozmowa z kie- rownikiem PDK ob. S. Kunt- zem jest stale przerywana. Do pokoju ciągle ktoś przychodzi to z prośbą o książkę, to pyta o szachy lub warcaby, to znów chce poradzić się w spra- wie nowej roli, którą przygo- towuje.

W pięknie urządzonych sa- lach, przy wygodnych stoli- kach, wszystkie miejsca są przeważnie zajęte. Mieszkań- cy Środy czują się w swym Domu swobodnie: znają roz- kład zajęć, biorą czynny ud-ział w kierowaniu życiem Domu Kultury, a nawet współ- nie z kierownictwem układa- ją plan imprez.

Z pokoju dobiega gwar mło- dzieńczych głosów. Wchod- zimy do jednego z nich. W ob- szernej sali na parkiecie su- ną pary. Odbywa się wła- śnie próba nowego tańca.

Spod palców akompaniato- ra wybiegają skoczne takt melodyj. Kierowniczką zespołu tanecznego Iwona Danowska jest wymagająca. Bacznie śle- dzi ruchy tańczących.

— Ewunia, znów zmyliłaś krok!

Z sąsiednich pokoiw docho- dzą dźwięki skrzypiec, forte- pianu i innych instrumentów. Tam odbywa się próba orkie-stry. Pracą zespołu muzyczne- go kieruje Lucjan Cudny. Do- brze też pracuje zespół pla- styczny, który prowadzi Fran- cisek Dzikowski. Amatorzy- plastycy wykonują dekoracje dla PDK i świetlic gromad- zkich.

20 przedstawień „Krakowiaków i górali”

Duże osiągnięcia ma zespół dramatyczny PDK. Znają go z występów nie tylko w Środzie, ale i w całym województwie. W roku ubiegłym wystąpił on komedii pt. „Dwa tygodnie w raju”. Zespół jest bardzo am- bitny, często wyjeżdża z wy- stępami do innych powiatów, miasteczek i gromad. Ma też wszelkie możliwości dalszego rozwoju: opiekę kierownictwa PDK, chętną do pracy mło- dzież i co najważniejsze wspa- niałe wyposażoną salę teatral- ną z dość głęboką sceną. Sala ta gości często inne zespoły amatorskie oraz ekipy „Arto- su” lub Teatru z Gniezna i Poznania.

Ostatnio na scenie tej po raz dwudziesty PDK wystawiło komedio-opere Wojciecha Bo- gusławskiego pt. „Krakowiacy i górale”.

— Myśl wystawienia „Kra- kowiaków i górali” powstała jeszcze w lipcu 53 roku — mó- wi reżyser Franciszek Dzikow- ski. — Pamiętam ile to było gorących dyskusji na ten te-

mat... Zwyciężył jednak naj- ważniejszy argument, zapal- młodzieży, no i oczywiście wa- runki. PDK posiada wszystkie zespoły (dekoratorów, tance- rzy, śpiewaków itd.), którymi trzeba dysponować przy wy- stawieniu „Krakowiaków i gó- rali”.

Wieczorem po pracy — mi- mo, że wielu członków zespó-łu mieszkało parę kilometrów poza miastem — młodzież zbie- rała się na próby. Przyszli- li wszyscy. Entuzjazm i duża mo- zolna praca wykazała, że nie był to słomiany zapal.

Zachęcający sukces — 7 tysięcy widzów

I wreszcie na murach mia- steczka pojawiły się afisze — zapowiedź pierwszego przed- stawienia.

Z bicie serca artyści i kie- rownictwo sztuki czekało w dniu premiery na pierwszych gości.

— Czy przyjdą, a może za- wiódą? — słyszało się takie głosy. Już na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia, sala wypełniona była po brze- gi. Wreszcie rozsunęła się kur- tyna. Dekoracje, kolorowe o- świetlenie, pięknie przygoto- wane stroje krakowiaków i górali pozwoliły zapomnieć w- dzom, że są w średnim PDK, a nie w prawdziwym teatrze zawodowym.

Czy sztuka podobala się? Na to pytanie odpowiedzieć może każdy mieszkaniec Śro- dy. Odpowiedź będzie jasna i krótka — tak. Ogółem „Kra- kowiaków i górali” oglądało przeszło 7 tys. widzów! Po-

nadto wyjeżdżano do gromad. Dochód, jaki przynosiły przed- stawienia, przeznaczono na ce- le PDK.

Sredzki Dom Kultury poza pracą artystyczną i oświatową zajmuje się również sprawami badań historii ziemi średzkiej. Ziemia średzka — mówi nam ob. Kuntz — posiada bogate tradycje kulturalne i historycz- ne. Dlatego też PDK przystą-



Ewa Brajerówna odtwórczyni Doroty oraz Zygmunt Stachowiak w roli Stacha w wystawionej niedawno sztuce Bogusławskiego pt. „Krakowiacy i górale”.

pół ostatnio do pracy badaw- czej nad tą dziedziną zagad-nień. Projektuje się również wystawienie kilku widowisk pokazujących okres sejmików średzkich.

Zdzisław Okuniewski

O prawdziwych i fałszywych tradycjach brytyjskich

George Bidwell

Na dziesięć dni przed swoją śmiercią J. Tuwim udzielił mi wywiadu dla angielskiego programu Polskiego Radia. Po- wiedział między innymi: „Niech pan powie brytyjskim słucha- czom, że głęboko i szczerze po- dziwiam tradycje kulturalne ich narodu. I wierzę, iż będą oni kontynuować swe najpięk- niejsze tradycje, a czerząc ideały swych największych pisarzy i codziennie odkrywając na nowo humanistyczne wartości swej li- teratury, pójda naprzód w przyszłość, którą sobie sami wywalczą”.

Tradycje, które brytyjskie kliki reakcyjne i związani z nimi pisarze chcieliby zachować, nie są tradycjami ludo- wymi, lecz wieżami krępujący- mi lud. Bo czyż można nazwać tradycją owe średniowieczne pompacyjne ceremonie, z ar- zystokratami przybranymi w bry- lantowe diademy, gronostajowe płaszcze i aksamitne, obcisłe spodnie; czyż można nazywać tradycją ten aspekt brytyjskie- go ustroju, który Thackeray wyszydzał w „Księdze Sno- bów”?

„Człowiek zdobywa wielki majątek, pomaga skutecznie ja- kiemuś ministrowi, wygrywa ważną bitwę, zawiera traktat, albo wreszcie jest traktat- prawnikiem, pobiera niezliczo- ne honoraria i zostaje sędzią; w nagrodę za to kraj obdarza go na zawsze złotą koroną (o- wiekającej lub mniejszej ilości- palek lub liści), tytułem oraz- godnością ustawodawcy. Zasu- ki twoje są tak wielkie — mó- wi naród — że twoim dzieciom- wolno będzie nami rządzić...”

Zyczeniem naszym jest, aby w tym szczęśliwym kraju istniała osobna rasa dzierżąca najwyż- sze godności, otrzymująca wszystkie pierwsze nagrody i mająca największe szanse do- bycia wszelkich rządowych po- sad i nominacji. Nie możemy zrobić parów z wszystkich two- ich kochanych dzieci, ale będą one miały wszystko, co rząd jest w stanie ofiarować.”

Czy można nazwać tradycją ten system „porządku i pra- wa”, który William Morris ob- nazwał w całej ohydzie w swym dziele „Społeczeństwo Prawdy i Fałszu”: „Urządnik, sędzia, policjant i żołnierz są pistole- tem i szablą w rękę współczes- nego rozbojnika-kapitalisty”; albo tę sprzedającą prasę o któ- rej William Cobbet pisał: „Je- żeli zdarzyło się kiedyś na świecie kompletne odwrócenie pierwotnych celów i założeń, miało to miejsce w prasie an- gielskiej, która zamiast oświe- cać, stara się utrzymać ciem- notę i ignorancję; zamiast po- pierać postulat wolności, być rzecznikiem spraw ludu, jest pierwszorzędnym narzę- dziem ciemieczycieli”.

Najlepszym dowodem zakła- mania i fałszowania narodo- wych tradycji przez ustrój ka- pitalistyczny i jego najemni- ków są nieustanne wysiłki zła- mania rzeczywistych tradycji, wyrosłych w ciągu długich lat walk poszczególnych grup robotników. Weźmy na przykład dokerów londyńskich. Reakcyj- ne kliki chciałyby zniszczyć najpiękniejszą tradycję doker-ów: „pamięć słynnych strajków — wielkiego strajku o podwyż- kę płac z roku 1889, strajku o prawo do zrzeszeń z roku 1912, słynnej odmowy załadowania okrętu „Jolly George” bronią, przeznaczoną do interwencji przeciw młodemu Krajowi Rad w r. 1920, strajku powszechnego z r. 1926, odmowy załadowa- nia okrętu japońskiego „Haru- na Moze” materiałem wojen- nym dla Japonii w roku 1938. Pracodawcy chcieliby zniszczyć te żywe tradycje ludu pracują- cego z którymi lud „idzie na- przód w przyszłość”.

Niektórzy robotnicy brytyj- scy i ich żony nie zdają sobie sprawy z tego, co dzieje się wo- kół nich. Zwolna jednak uświa- domienie zatacza coraz szersze

kręgi, jak tego dowodzi wzra- stająca opozycja w łonie Partii Pracy i w związkach zawodo- wych wobec reakcyjnych przy- wódców. Coraz więcej robotni- ków orientuje się, że lud osią- ga wielkość wówczas, gdy soli- darnie występuje przeciw uc- skowi, gdziekolwiek na świecie ucisk ten się przejawia.

Zadanie wyjaśniania tych spraw ogółowi wziął na siebie Komitet Kulturalny Par- tii Komunistycznej Wielkiej Brytanii. Materiałów nie brak. Alick West powiedział na ku- rsach, zorganizowanych przez Komitet Kulturalny: „Bohate- rów przeszłości kulturalnej wszystkich krajów — my ma- my naszego Szekspira, Francja Rabelai’go, Hiszpania Cervan-

(Ciąg dalszy na str. 5)



ARMIA LUDOWA W VIETNAMIE ZWYCIĘŻA. Komunikaty prasowe coraz częściej przynoszą wiadomości o sukcesach Armii Ludowej w Vietnamie. Jest ona doskonale wyposażona. Rząd ludowy, kierujący walką narodu o wolność, zbudował w dżungli własny przemysł zbrojeniowy, dostarczający frontowi nowoczesnego sprzętu. — Na zdjęciu: lekka artyleria polowa w czasie ostrzeliwania pozycji francus- kich wojsk kolonialnych.

KĄDE MIASTO może być poważnym dostawcą organicznych nawozów naturalnych, gdyż dzięki rozwojowi techniki nie stoi na przeszkodzie, aby ścieki kanalizacyjne i odpady, które dziś zalegają w zbiornikach, nie stały się po przetworzeniu w biohumus. Przeprowadzone bowiem doświadczenia wykazały, że zawartość ścieków miejskich jest wyższą niż nawozem organicznym i kilkakrotnie zwiększa zbiory. I tak np. po wykorzystaniu ścieków na obszarach pod łodzią zanożowano zbiory siana w wysokości do 120 kwintali rocznie z 1 ha, zamiast 15 q uzyskiwanych poprzednio. Znako mite rezultaty uzyskano również na obszarach pod Wrocławiem i Bydgoszczą.

PRZY POMOCY PIASKU można krajać granit i przebić w ciągu jednej zmiany do 150 otworów, zamiast 12, uzyskanych przy pomocy dłut pobielitowych. Tak szybkie cięcie granitu można osiągnąć przy pomocy zwykłej piaskownicy i sprężarki elektrycznej po nałożeniu na granitową płytę grubiej ochrony gumowej z odpowiednim otworem. Przeprowadzone przez radzieckich kamieniarzy D. Masłowa i D. Daniszyna próby wykazały, że skierowany w otwór strumień piasku przebijają granit do 60 mm w ciągu 7 minut, pozostawiając po sobie jakby szlifowany otwór.

DONIOSŁYM ODKRYCIEM uczonych chińskich w ostatnich latach jest odnalezienie na zachodnim brzegu rzeki Urumczy resztek kregowców, które żyły w okresie permskim, to jest 220 do 190 mln. lat temu. Odkrycie to ma doniosłe znaczenie dla badań ewolucji płazów, gadów i ssaków.

SNIEG POD RÓWNIKIEM to paradoks — tak sądzono jeszcze w 1948 roku. Kiedy więc dwaj niemieccy podróżnicy powrócili do kraju z wyprawy do Afryki i przywieźli niezwykle wiadomość o śnieżnym masywie szczytu Kilimandżaro — wówczas najważniejsze sławy naukowe z kół przyrodniczych i geograficznych wydały „bezcennym kłamcom” prawdziwą wojnę. Nawet Aleksander Humboldt, wielki i ceniony podróżnik, nie dał wiary swym rodakom, którzy uparcie twierdzili, że spotkali się pod równikiem ze śniegiem i lodem. 15 lat później, w 1863 r. wyruszyła naukowa ekspedycja niemiecka do Afryki ekwatorialnej na podbój Kilimandżaro. Na wysokości 4280 m nastąpił kres wyprawy: gwałtowna burza śnieżna zmusiła ekspedycję do szybkiego odwrotu. Od tego momentu śnieg i lód w pasie tropikalnym nie jest już uważany jako paradoks.

GIGANTYCZNY SZLAK przemierzyło ostatnio jedno z wędrownych kłn w Chinach. Od oswobodzenia powstało tam 2400 km objazdowych, które docierają do najodleglejszych zakątków kraju, do osad wysokogórskich, a nawet wysp mniej oddalonych od wybrzeża. „Wędrowny przybytek X Muzy” przewidziany wyprawę na mulach i koniach przez bezkresne stepy i skute śniegiem szczyty górskie, przebywając w trudnych warunkach 2500 kilometrów. Jest to doprawdy gigantyczny „bojowy” szlak kultury, która dotarła do polaci kraju zamieszkałego przez Tybetańczyków. Pierwsze kino powitano w dalekiej krainie wielkich Chin z ogromnym zaciekawieniem i nazwano je „Mówiące i ruchome cienie elektryczne”.

STROMBOLI — to wulkaniczna wyspa włoska w pobliżu wybrzeży Sycylii i Kalabrii. — Wznosi się tam wulkan Stromboli, ciągle czynny. W ostatnich dniach mieszkańcy przyległych wiosek zostali zaalarmowani no wymi wybuchami. Na szczęście, skończyło się tylko na strachu. Strumienie lawy spływały bowiem do morza, nie niszcząc okolic zamieszkałych wiosek tamtejsze zamieszkuje uboga ludność wiejska, trudniąc się rybactwem. Ostatni wielki wybuch był notowany przed 24 laty. O ósmej z rana, w dniu 11 września 1930 r., po wyrzuceniu chmur popiołu i odłamków skalnych, dochodzących do 30 ton (zniszczyły wiele domów), nastąpił wylew rozpalonej lawy w stronę morza. Trzech mieszkańców, których dopadła lawa, plynąca z szybkością 20 m na sekundę, zginęło na miejscu. — Czwartki szukał ratunku w falach morza, ale ugotował się żywcem, gdyż woda zagotowała się od żaru lawy.

Ile lat ma Ziemia?

Badania nie tylko teoretyczne

Ile lat istnieje nasza planeta? Kiedy na jej powierzchni powstały góry i oceany? Te pytania od dawna już interesują uczonych. Jednakże nawet dziś nauka nie może dać na nie zupełnie dokładnej odpowiedzi. I nie dziwnego — są one przecież bardzo skomplikowane.

Jak określa się wiek Ziemi? Dawniej usiłowano oprzeć te obliczenia na szybkości powstawania osadów na dnie morza i oceanów, później próbowano określić czas, w ciągu którego ognisto-płynna kula ziemiska mogła ochłodzić się do obecnego stanu. Różne sposoby obliczeń dawały różne wyniki: od 80 milionów do miliarda lat. Nie brano wówczas pod uwagę wielu zjawisk, które dopiero w naszych czasach zostały zbadane przez naukę.

Tylko „względny” wiek

Skaly osadowe, na które natykamy się w skorupie ziemskiej, leżą warstwami jedno nad drugim. Im głębiej leży taka warstwa, tym jest ona starsza, najmłodsza zaś leży na samym wierzchu. Na tym fakcie oparto tzw. stratygraficzną metodę określania wieku skał. Na przełomie XVIII i XIX wieku uzupełniono ją drugą metodą, która otrzymała nazwę paleontologiczną.

Badając skamieniałe resztki zwierząt i roślin, uczeni stwierdzili, że każdej warstwie skorupy ziemskiej odpowiadają określone skamieniały. Zwierzęta i rośliny zmieniały się z biegiem czasu i wedle ich dzieł, odczytywanych ze skamieniałych resztek, określa się wiek skał. Metoda paleontologiczna posłużyła jako podstawa przy podziale geologicznej historii Ziemi na ery i okresy.

Obie te metody pozwoliły określić, w jakiej kolejności powstawały przeróżne geologiczne warstwienia, które z nich należy uważać za młodsze, a które za starsze. Jednakże metody te pozwalały określać jedynie względny wiek skał. A znacznie ważniejsze było zdobycie klucza do określania bezwzględnego wieku skał, tzn. wyrazić ten wiek w latach czy w milionach lat.

Metoda ołowiana

Mniej więcej przed 50 laty uczeni zaproponowali wykorzystać w tym celu odkryte właśnie w owym czasie zjawisko rozpadu niektórych pierwiastków chemicznych, zwanych promieniotwórczymi. Takie pierwiastki jak uran, rad, tor, potas, rubid i inne, wchodzące w skład skał, posiadają własność rozpadać się, tzn. przemieniać na inne — trwałe, niezmienne pierwiastki.

Tak np. w wyniku rozpadu uranu i toru powstaje gaz hel i metal ołów. Proces ten przebiega niesłychanie powoli, ale nieprzerwanie, i co jest bardzo ważne, ze stałą szybkością.

Współczesna nauka rozporządza bardzo dokładnymi metodami, pozwalającymi określać szybkość rozpadu, obliczyć, np. ile młg ołowiu daje w ciągu roku 1 kg uranu. W ten sposób, aby do wiedzieć się, ile lat trwa promieniotwórczy rozpad, czyli ile lat upłynęło od początku formowania się badanej skały, wystarczy ustalić, ile zawiera ona uranu i ołowiu. Jest to tzw. ołowiana metoda określania wieku skał.

Skaly osadowe tworzyły się przed 3 miliardami lat

Obecnie, na podstawie najnowszych badań uważa się, że od początku procesu tworzenia się skał osadowych upłynęło 3—3,5 miliarda lat. Liczby te wymagają jeszcze bliższego sprecyzowania.

Pod wpływem promieni ultrafioletowych zwierzęta i rośliny szybciej rosną

Praktyka wykazała, że zastosowanie elektryczności jako źródła światła i ciepła w hodowli żywego inwentarza oraz w przyspieszeniu rozwoju i owocowania roślin dało bardzo dobre wyniki.

Tak np. oświetlenie kurników zwykłymi żarówkami w zimie, późną jesienią i wczesną wiosną podniosło nośność kur o 20 proc., a zwykła temperatura w kurnikach do 6—8 st. C. zwiększyła dalszą ich nośność, zwłaszcza gdy równocześnie stosowano lampy ultrafioletowe.



Promienie ultrafioletowe stosowane są w walce z krzyżakami, dla polepszenia sił żywotnych i zwiększenia ilości zwierząt domowych. W sowchozie „Pietrowskoje” w 1953 r. zastosowano np. naświetlanie 1200 rasowych psów. W ciągu 4 miesięcy psów naświetlanych dały przyrost o 9 kg większy niż psy niepozbawione promieni ultrafioletowych. Sowchoz „Pietrowskoje”.

W oddziale nauk geologicznych Akademii Nauk ZSRR istnieje komisja, której zadaniem jest zbieranie wielu formacji geologicznych. Metodyka i technika pomiarów absolutnego wieku skał jest niezwykle złożona. Komisja udoskonala znane już metody i opracowuje nowe.

Prace komisji mają nie tylko teoretyczne, ale i praktyczne znaczenie. Przecież wiedzieć, w jakich skałach wytworzyły się te czy inne minerały — znaczy wiedzieć, gdzie trzeba szukać tych właśnie minerałów. Znane są liczne przykłady odnalezienia wielkich złóż ropy, węgla kamiennego i rudy żelaznej dzięki określeniu wieku skał.

Pod wpływem promieni ultrafioletowych zwierzęta i rośliny szybciej rosną

skoje” zarobił ponad 100 tysięcy rubli.

ELEKTRYCZNOŚĆ W CIEPLARNIACH

Coraz szerzej stosowane jest w Związku Radzieckim ogrzewanie ciepłarni elektroenergią, ponieważ ciepłarnia jest najbardziej energooszczędny odbiorcą. W niektórych kolechozach powierzchnia ciepłarnianych ram wynosi tysiące m². Tak np. w kolechozie „Pamięć Iljicza” w rejonie Mityszczewskim w 1953 r. założonych było 8 tys. m² ciepłarnianych ram.

PRĄD LEPSZY OD NAWOZU

Ogrzewanie roślin nawozem naturalnym wymaga dużego wkładu pracy, a wada jest niemożność kierowania procesem cieplnym. Początkowo nawóz po siada nadmiar ciepła — szkodził dla roślin, a pod koniec niedostatek ciepła w nawozie doprowadzał do marznięcia rozsady. Ogrzewanie elektrycznością wolno jest od tego niedostatku.

Temperaturę w ciepłarni reguluje automatyczny przyrząd. Ostatnio stosowane jest w Związku Radzieckim ogrzewanie ciepłarni bezpośrednio prądem elektrycznym przepuszczanym przez warstwę ziemi w ciepłarni, systemem inż. Jesijewa.

Jak dalece rozwinęła się elektryfikacja rolnictwa w Związku Radzieckim dowodzi fakt, że w 1954 roku siła stacji elektrycznych pracujących dla rolnictwa przewyższa całą energię elektryczną zakładów przemysłowych i użytku ogólnego przedrewolucyjnej Rosji.

W ciągu najbliższych dwóch lat nastąpi dalsze zwiększenie tempa elektryfikacji w rolnictwie — zwłaszcza w hodowli inwentarza żywego i warzywnictwa.

Opracował H. B.

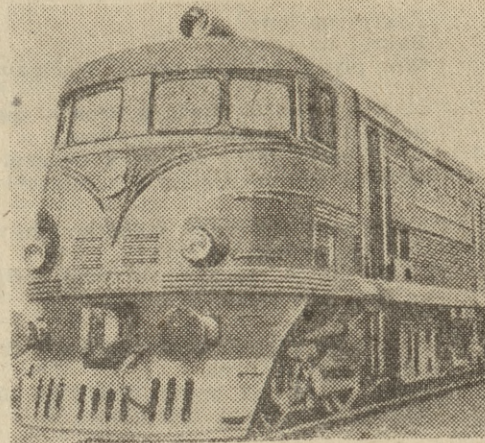


Mimo ogromnego rozwoju transportu samochodowego, żeglugi wodnej i powietrznej, koleje żelazne odgrywają nadal bardzo poważną rolę w gospodarce państwowej.

10 ton wody na godzinę

W Związku Radzieckim 30 proc. całej produkcji węgla idzie mianą energii (silnik gazowy —

Lokomotywa o napędzie gazowo-elektrycznym — podobna jest do lux-torpedy. — Posiada, jak widzimy na zdjęciu, linie aerodynamiczne. Postęp maszynisty mieści się, podobnie — jak w pociągu elektrycznym — na przodzie lokomotywy. Daje to lepsze pole obserwacji dla maszynisty, a co za tym idzie — większe bezpieczeństwo.



na napęd lokomotywy. Z tego tylko szesnasta część idzie na prawdę na uzyskanie energii mechanicznej, podczas gdy reszta uchodzi dosłownie — z dymem. Toteż od lat trwa usiłowanie, aby ulepszyć napęd parowy oraz znaleźć inne, bardziej ekonomiczne systemy.

Każdy parowóz musi co 300 km uzupełniać zapas węgla, a co 100 km — wody. Zużywa jej bowiem na godzinę pracy od 10 do 12 ton. Zaopatrywanie parowozu w węgiel i wodę jest zwłaszcza na terenach pustynnych i ubogich w wodę — poważnym zagadnieniem.

Dlatego już od dawna technika radziecka starała się wyprodukować nowy typ lokomotywy, która by przy odpowiedniej mocy, choć w części była pozbawiona na wad parowozu. To zadanie zostało po wielu próbach rozwiązane.

Trzy przeróbki energii

Schemat urządzenia przedstawia się w zarysach następująco: w gazowni (na kolach) wytwarza się z antracytu gaz, którym pędzi się kilkucylindrowy silnik o mocy 2.000 KM. Silnik ten

Podejrzana nazwa

W Londynie zdarzył się niedawno wypadek, który wywołał konsternację nawet wśród angielskich dziennikarzy burżuazyjnych. Otóż p. René Cassin, przedstawiciel Francji w Komisji Praw Człowieka przy ONZ, udał się do Londynu na pewną konferencję naukową i... został zatrzymany na dworcu przez władze imigracyjne.

Urzednicy angielscy, kopiując z całą dokładnością porządki panujące w państwie dolara, zmusili dyplomatę francuskiego do wypełnienia specjalnej ankiety i zasympali go podczas dłuższego przesłuchania niezliczonymi pytaniami. Mało tego — zatrzymali go, aż do wyjaśnienia pewnych szczegółów, które wydały się im „podejrzanymi”.

Jak pisze „Daily Herald”, urzednicy, dowiedziawszy się z paszportu Cassina o tym, że jest on przedstawicielem Francji w wyżej wspomnianej komisji, pytali go wszyscy po kolei, co właściwie oznaczają słowa „prawa człowieka”.

Londyński „Daily Mail” usiłował wytłumaczyć tę skandaliczną historię tym, jakoby urzednicy „byli nie dość dobrze zorientowani”, jak również tym, że w związku z „zimą wojną” znacznie zwiększyły się ich obowiązki.

Fakt, że urzednicy ci zatrzymali Cassina właśnie z powodu słów „prawa człowieka” pozwala sądzić, że są oni doskonale zorientowani, tylko że... w pewnym określonym kierunku. Nie darmo „Daily Herald” wspominał w związku z tą historią o „cieniu senatora Mac Carthy”.

z kolei napędza dynamomaszyną prądu stałego, która dostarcza prądu do silników elektrycznych, osadzonych na wałach zestawów kołowych, podobnie jak w wozach tramwajowych.

Pródz gazu węglowego silnik dostaje jeszcze około 25 procent paliwa w postaci płynnej (ropa). Zużycie węgla jest trzy razy mniejsze, niż w parowozach — mimo strat, ponoszonych z przeprocent. całej produkcji węgla idzie mianą energii (silnik gazowy —

Lokomotywa o napędzie gazowo-elektrycznym — podobna jest do lux-torpedy. — Posiada, jak widzimy na zdjęciu, linie aerodynamiczne. Postęp maszynisty mieści się, podobnie — jak w pociągu elektrycznym — na przodzie lokomotywy. Daje to lepsze pole obserwacji dla maszynisty, a co za tym idzie — większe bezpieczeństwo.

O fałszywych i prawdziwych tradycjach brytyjskich

(Ciąg dalszy ze str. 2)

tesa, Niemcy Goethego, Rosja Puszkina — łączą z bezimiennymi milionami, którym swą wielkość zawdzięczają, braterstwo wspólnych wysiłków. Wszyscy oni, w swoim czasie i w danych warunkach, walczą o wolność i postęp. Jest to treścią naszej tradycji narodowej, tak jak wszystkich narodów i wszystkich ludów, nim jeszcze powstały narody”.

We wszystkich stadiach walki przeciw kapitalistycznemu uciskowi, brytyjska klasa robotnicza budziła do życia sztukę, która była odbiciem i natchnieniem tej walki. W okresie czarytymu, gdy zaczynały szerzyć się idee socjalizmu a potem marksizmu, były poezje Ernesta Jonesa. W latach socjalistycznego odrodzenia, pod koniec XIX w., William Morris wniósł do teorii politycznych i ekonomicznych swój wspaniały talent artystyczny. Słynna powieść Roberta Tressella pt. „Filantrop w łachmanach” była również owocem ruchu socjalistycznego; była to pierwsza prawdziwa powieść z życia brytyjskiej klasy robotniczej i po raz pierwszy w literaturze brytyjskiej bohaterem był rewolucjonista.

Istnieje w W. Brytanii piękna tradycja sztuki ludowej, o której mało się na ogół mówi. Komitet Kulturalny udowodnił klasie pracującej, że najbardziej wartościową i najpiękniejszą literaturą, najwyraźniej skłaniającą się w kierunku socjalistycznego realizmu, powstaje w okolicach kraju, gdzie w najczystszej formie przechowała się sztuka ludowa.

Ci, którzy słusznie pragną się oprzeć na ludowej tradycji w walce o wyzwolenie ludu — i w przeciwstawieniu zakłamanym tradycjom, które mają ten wyzysk usprawiedliwiać — mogą powiedzieć razem z Pawłem w scenie sądu z „Matki” Gorkiego:

„W rzeczywistości wy wszyscy, co jesteście naszymi panami, jesteście bardziej niewolnikami od nas. Jesteście w niewoli duchem — my tylko ciałem. Nie możecie uwolnić się z jarzma zwyczajów i przesądów, z jarzma, które zabija waszego ducha. Nasza świadomość prawdy pogłębia się nieprzerwanie i coraz to szybciej, przyciągając najlepszych ludzi, wszystkich zdrowych duchem, nawet z waszych środowisk... Nie możecie przeciwstawić naszemu odrodzeniu niczego, prócz okrucieństwa i cynizmu”.

Radzimy sobie wzajemnie

Nasza przyjaciółka podpisująca się SOS, pisze tak:

„Mój mąż często bije pięścią w stół wykrzykując, że nie ma spokoju w domu... Przed moim mężem nie mogę zaplać, jak przed przyjaciółm, bo mowi, że jestem histeryczką. Za skrzywienie się do płaczu grozi wyrzuceniem z drzwi... Nie powiem, pieniądze oddaje mi wszystkie. Teraz już wcale nie płaczę, lecz milczę i jest na pozór dobrze, jest spokój, ja tak awantur nie lubię. Tylko, że serce do męża tręce... Ci, którzy u nas coś zauważyli, mówią, że się męża boję, lub że go rozpieszczam i nadskakuje...”

Nie będziemy dalej cytować listu. Nasza czytelniczka ma poważny kłopot, lecz trochę jest w tym jej winy. Pisała na pewno ze łzami w oczach, ale — droga SOS — nie trzeba dramatyzować. Co Pani przyjdzie z „popła

kiwania w kacie”? Chwilowa ulga? — Owszem, lecz to nie rozwiąże sprawy stosunku między małżonkami. Żona nie powinna ulegać „tyrani małżonkowskiej” — te czasy dawno już minęły. Mąż musi się przekonać, że pani jest osobą samodzielną, że nie będzie pani odgrywać roli „służki i podłożka” ani „tyrana” rozpieszczając, ani nadskakiwać. Nie radziłabym wywoływać awantur, lecz po prostu poszukać pracy zawodowej (pisze Pani zresztą, że posiada konkretną wykształcenie), by „pan i władca” przekonał się, że i bez niego Pani sobie może doskonale dać radę. Poza tym trzeba z nim dojść do porozumienia w sprawie ponoszenia obowiązków w pracach domowych. Praca zawo dowana męża nie zwalnia go od udziału w pewnych pracach domowych. Z moim Hieronimem wspólnie się naradzamy każdego dnia, co każdy z nas będzie dziś robić. Przy takiej organizacji mamy czas i na kino, teatr, czy wizytę u zna

jomych. Gdy na przykład ja mam domową przepierkę, kochany Hieronim zmywa naczynia i porządkuje kuchnię. Tak się w tym wprowili, że często robi lepiej niż ja sama. Gdy mój mąż to przyzna, jest strasznie z siebie dumny. I tu właśnie jest druga strona medalu. Mężowi trzeba czasem i powiedzieć miłe słowo, i dogodzić, nie zaczynać np. rozmowy o pieniądzech, gdy wraca z pracy. Wszystko to musi jednak wynikać z przyjacielskiego stosunku między małżonkami, a nie z poczucia zależności.

Miałam, muszę to o powiedzieć, przyjaciółkę, która była inżynierem — jej mąż także, wracał do domu po pracy (dzieci nie mieli) i mąż kładł się na tapczan wołając: „He-lutka, podaj mi, kochania herbaty” — a po chwili znów: „Helutka, zaceruj mi skarpety” — Tak było przez półtora roku, nim Helutka zorientowała się, że popełnia błąd. Tak dzieje się jeszcze dość często. Niektórzy me-

żowie lubią odgrywać rolę „panów domu”, którzy palcem nie ruszą, by zapracowanej żonie pomóc. Od samej kobiety zależy, czy potrafi ona znaleźć właściwe rozwiązanie tych spraw. Czasem można to osiągnąć uśmiechem, czasem innymi środkami, wśród których perswazja powinna odgrywać niepoślednią rolę.

Ale jest jeszcze jedna sprawa naszej przyjaciółki, której dzisiaj nie poruszamy: Co zrobić, gdy żona wie, jak się zachować przy stole, a mąż nie? Co zrobić, gdy mąż „młaska”, pakuje łokcie na stół, wywyższa się nad wszystkich, zraża sobie ludzi? To także boleści SOS, o których pisze. Postaramy się je poruszyć. Chwilowo radzimy: Wziąć się w karby, poszukać zajęcia zawodowego, by mąż przestał się czuć „panem i władcą”, przestać płakać, być wesołą, w żadnym zaś wypadku nie poddawać się tyranii.

Pozdrawiam serdecznie.

JULIA SEWERYNA

Gawęda majowa

Księżyc i niebo.
I Wielki Wóz.
Wóz. W nim Żeromski.
A obok Prus.

Wiosenny nastrój.
Księżyc i gwiazdy.
Wóz mknął, choć brak go w rozkładzie jazdy.

— Porozmawiajmy trochę kolego!
Powiada sąsiad do Żeromskiego —
Tym bardziej — mówi — że mamy czas...
I nuże nogą naciska gaz...

Zakręt na lewo.
Zakręt na prawo.
Wóz płynął właśnie ponad Warszawą.

— Niech pan — powiada Prus — spojrzysz w dół!
Światła tam więcej niż gwiazd.
— Ciekawe, jakby człowiek się czuł
W tym najpiękniejszym z miast?!

— Dziwnie się czasy jakoś zmieniły...
— I ludzie inaczej żyją...
— To nie to samo, co dawniej, miły...
— Biją nas teraz, biją!...

— A kogo więcej? Mnie czy też ciebie?
Cicho zapytał Prus.
(Wóz, patrz, jak wyżej, pędził po niebie,
Jak to, po prostu, wóz...)

Żeromski trzymał ołówek w dłoni,
Notesik w drugiej miał ręce:
— Mnie teraz biją — szepnął wzruszony —
W nakładzie dwustu tysięcy!

— Cyferka nieźła — powiada Prus —
Lecz mnie chyba biją więcej!...

W tym to momencie wóz w chmurę wrósł.
Wysiedli.
I poszli dalej.
Stefan wyjaśniał.
Obliczał Prus.
I omal się nie posprzeczcali...

W. J. SZWABOW

PORTRET

ALICJA TESARZ

Działo się to w tym czasie,
kiedy ja i wielu innych
miałem pustki w kieszeni. Z za-
wodu jestem malarzem cer-
kiewnym, maluję świętych, to
znaczy obrazy o treści ewan-
gelicznej. W okresie głodu nie
otrzymałem żadnych zamówie-
nia: popi również musieli się
ograniczać.
— Nagle wpadł mi pewien
pomysł do głowy.



— A gdybyś tak, Siemuszku
pojechał na wieś, — mówię so-
bie, — i zaczął malować morder-
ców kulałów.

W czterech wsiach ni chole-
ry z tego nie wyszło, w piątej
chwyciło. Mieszkał tam znany
kulał, dawny kupiec, diabiełnie
bogaty.

— Dobrze, — mówi — maluj
nas po kolei: mnie, Matronę,
Akulkę, Miskę. Chcę żyć po
pańsku: niech sobie moja ro-
dzina wisi na ścianie, akurat-
nie.

Zaczeliśmy się targować. Za-
żądałem od portretu pud maki
i trzydziści jaj. On odparł:
maluj za jedzenie, dostaniesz
zryć i kwita.

— To rozbój! — przekonuje

go. — Pan nie docenia sztuki.
Pan chyba nie wie, że sławny
malarz Repin bierze za portret
trzy tysiące.

— Mam gdzieś twojego Re-
pina! On jest Repin, a ja O-
gurcow. Nie chcesz, nie trzeba.
Zabieraj swoje manatki i woi!
Zaczęłem drania malować.
Gorąco było nie do wytrzyma-
nia, taki piekielny upał, że we
wsi sześć psów się wściekło.
Posadziłem zaraz przy furtce,
w pełnym słońcu i kazałem mu
nałożyć wilczą szubę i czapkę.

— Po co? Narysuj mnie w
czerwonej koszuli z zegarkiem.
— Nie, — mówię — w szu-
bie bardziej dostojnie, bogato.
Wszyscy wielmożę każą się por-
tretować w szubach.

Siedzi, pot z niego kapie, ja
oczywiście rozstawiłem stalugi
w cieniu. Przyglądam mu się,
on sapie: wypasiony wieprz,
tłusty.

— Dlaczego mnie malarzu
nie malujesz?
— Studiuję waszą fizjogno-
mię, wspaniałą macie twarz,
jak wojewoda.

Pogłodził się po brodzie, przy-
brał postawę pełną godności.
Zauważyłem:
— Nie wolno się kręcić, Mi-
trij Titycz.

— Tak?! Naprawdę nie wol-
no... To pech, akurat pcha
mnie gryzie.

— Mówić też nie wolno. Ani
mrugać: będziecie potwornie
wyglądać. Spokój, zaczynam —
zrobiłem pierwszy szkic.

W tym momencie usiadła mu
na nosie mucha. Zerka na nią
zezem, rusza nosem, widzę, że
w duchu klnie tę muchę ile
wlezie, że starłby ją na miazgę,
gdyby mógł.

Odzywam się:

— Nie zwracajcie na nią u-
wagi, pospaceruje i poleci. W
przeciwym razie zepsujecie
portret, będę musiał zaczynać
od nowa.

Obserwuję go. Skrzywił usta
i nieznacznie dmuchnął. Mucha
nie lubiła wiatru, więc prze-
niosła się z nosa na prawe oko.
Kulał drgnął i wymierzył so-
bie siarczysty policzek. Mucha
prześlązła istnieć.

— No widziacie — rzekłem
— portret zepsuty. Od nowa.

— Panie malarzu — odezwał
się błagalnie. — Czy nie mógłi-

bym usiąść w cieniu. Strasznie
gorąco, jestem cały mokry, tak
ciężko patrzeć pod słońce.

— Mowy nie ma — oświad-
czyłem — uspokójcie się wresz-
cie.

Po trzech godzinach zrobiłem
przerwę. Kulał pędem pobiegł
do stawu, po drodze zrzucił z
siebie szubę i czapkę.

— Miska, podnieś! — Nie
zważając na kobiety, rozebrał
się do naga i skoczył do wody.
Prychnął i nurkował jak fok.

Po tej orzeźwiającej kąpieli,
zasiadł do obiadu. Ja jem i my-
ślę: „Czekaj sknoro, ja ci po-
każę, jeszcze ty mi zaśpiewasz
cienkiem głosem“.

— Malarzu, a ile by to ko-
sztaowało bez czapki? — zapy-
tał Ogurcow.

— Dwa pudy, ani deka
mniej. Będę musiał zaczynać
od początku.

— Przedtem chciałeś pud?



— Nie mogę taniej niż dwa
pudy. W czapce — pud. Jestem
jednym z najsłynniejszych ma-
larzy. W Moskwie nie ma ta-
kiego psa, który by mnie nie
znał.

— Portret bardzo mi się po-
doba — powiedział Ogurcow.
— Nie wypuszczę cię stąd tak
szybko. A gdybyś próbował u-
ciec, dogonię cię na koniu, sko-
ro jesteś taki sławny. Trudno,
rysuj mnie z gołą głową, bez
czapki.

Po obiedzie gospodarz wypił
jedenaście szklanek herbaty,
nałożył szubę, przeżegnał się,
i ruszył ku drzwiom:

— Chodźmy, pies ci morde
lizal. Tylko nie obrażaj się na
mnie, gołąbeczku...

Upał był jeszcze większy.

WYCHOWAWCA

Na jednym z zebrań rady
miejscowej zakładu prze-
mysłowego X mówiono o po-
trzebie wciągnięcia do pracy
społecznej i politycznej kobiet.
Dawano przykłady braku or-
ientacji wielu żon pracow-
ników zakładu w bieżących za-
gadnieniach politycznych, za
co winę ponoszą mężowie.

Referat wygłoszony na ten
temat przekonał całkowicie Mi-
chała Repejnikowa. Wpraw-
dzie referent nie wymienił go
z imienia i nazwiska, jako te-
go, który nigdy w domu nie
mówi o żywotnych zagadnie-
niach kraju, bo skąd on może
o tym wiedzieć, ale Repejni-
kow czuł się winny wobec żony
i postanowił radykalnie się
zmienić.

— W rzeczywistości, jaki ze
mnie mąż? Sam zająłem sta-
nowisko z awansu społecznego,
kieruję biurem, a rodzinnej
żonie nie poświęcam żadnej
uwagi. Pozostawiona jest sama
sobie... Nie, to wyraźne świń-
stwo z mojej strony. Trzeba
dziś jeszcze, co tam dziś, trze-
ba zaraz, natychmiast poroz-
mawiać z żoną.

Aby nadrobić czas stracony
i jak najprędzej zacząć wycho-
wanie żony Repejnikow, nie

czekając końca dyskusji, po-
szedł do domu. W drodze tu-
maczył sobie: „Trzeba przede
wszystkim wcześniej wracać
do domu. Każdą jej wolną
chwilę trzeba kontrolować, a
tymczasem zdarza się, że przy-
chodzę do domu o północy. Na
wet nie mam czasu porozma-
wiać z Lonią o sprawach go-
spodarczych. Na początku po-
proszę, aby w zakładzie, gdzie
pracuje, powierzono jej sprawy
socjalno - bytowe zakła-
du“.

Zadowolony z siebie, aby
prędzej znaleźć się w domu,
wskoczył do taksówki i u-
śmiechnięty stanął przed obli-
czem zdziwionej żony.

— Co tak wcześniej? —
Gdzie i z kim byłeś? Chuch-
nij!

— Lonia, coż znowu! Nawet
w oknie wystawowym butelki
nie widziałem. Przyjechałem
widzieć ot, z wezbranego uczu-
cia. Wiesz co, Lonia, namyśli-
łem się i mocno postanowi-
łem... Ale zjedźmy razem ko-
lacje.

— No, nareszcie coś mądre-
go — uśmiechnęła się Lonia.
— Proszę, siadaj, a ja sądzi-
łam, że ty...

— Ale ja nie w sprawie ko-

lacji, a w innej kwestii... Po-
daj przedzę jedzenie!

— Trudno cię zrozumieć,
lepiej już jedz.

W czasie jedzenia Repejni-
kow nie wymówił ani słowa,
gdyż rozmowę w czasie posił-
ku uważał za znak złego wy-
chowania. Lecz gdy tylko
wstał od stołu i przesiadł się
na leżankę myśli o wychowa-
niu żony znowu go obstały
rojem. „Od czego zacząć? —
myślał i oparł się łokciem o



poduszkę. — Do teatru już za
późno. Może by pójść do kina?
Trzeba było tam pójść przed
kolacją. Lekarze nie zalecają
spaceru zaraz po jedzeniu.“ Za
jęty tymi myślami, Repejni-
kow nawet nie zauważył, jak
jedna jego noga znalazła się
na wałku leżanki, za chwilę
obok była już druga noga.

— Czy na godzinkę, czy do
jutra? — zapytała Lonia, wi-
dząc, jak mąż walczy rozpacz-
liwie, aby mieć oczy otwarte.
W odpowiedzi Repejnikow zro-
bił nieokreślony ruch ręką i
powiedział:

— Na chwilę.

— Znam twoją chwilę.
Tak, Michale, chciałem od da-
wna z tobą pomówić. Zaczę-
kaj, nie śpij, słyszysz! Widzisz,
Miska, jesteś naczelnikiem biu-
ra, masz podwładnych i nie ro-
zumie, jak nimi kierujesz.

— O czym ty mówisz? — i
spuścił nogi na podłogę.

— Mówię, że zupełnie nie
pracujesz nad sobą. Książek
nie czytasz, do kina nie cho-
dzisz, zapomniałeś drogi do te-
atru. Muszę się przyznać, że
wstydę się za ciebie wobec lu-
dzi. Rozumiesz, wstyd! Mnie
w zakładzie uważają za pro-
downicę pracy, przedwczoraj
wybrana zostałam na przewod-
niczącą rady miejscowej. A
ty? Weź się w garść! Zajmij
się pracą nad sobą, a jeżeli bę-
dzie potrzebna moja pomoc
służę ci z przyjemnością.

Michał Repejnikow skoczył
z leżanki, chrząknął raz i dru-
gi, ale nie mógł wymówić ani
słowa.

(Wg „Krokodila“ — hb)

Wracamy do labiryntu

Czy pamiętacie „Biurokratycz-
ny labirynt“ w jednym z ostat-
nich numerów dodatku „Nowy
Świat“? Pisaliśmy tam o prze-
dziwnie krętych ścieżkach, jaki-
mi chadzało zamówienie Zar-
ządu Przemysłu Szkłarskiego
w Poznaniu na pewne, po-
trzebne mu druki. W odpowie-
dzi otrzymaliśmy wyczerpujące
pismo CWD w Warszawie z ob-
szernymi wyjaśnieniami. Aby od-
tworzyć system organizacji pra-
cy tej instytucji w zwykłych sło-
wach, wystarczy przeczytać to
pismo kilka razy, raz od począt-
ku, raz od końca i kilka razy na
wyrwyki w środku.

I sens staje się oczywisty.

Druki dla naszych „szklarni-
ków“ wykonane zostały w dru-
karniach 6 miast: Zielonej Gó-
rze, Gdyni, Grudziądzu, Toru-
niu, Bydgoszczy i Poznaniu. Pro-
sto z drukarni pojechały druki
do Bydgoszczy. I te z Gdyni i
te z Poznania, wszystkie. Po co?
Bo w Bydgoszczy jest Baza. Bar-
dzo ważna baza — Baza Towar-
owa.

Aha, więc widocznie CWD nie
ma bazy towarowej w Pozna-
niu? Przeciwnie — ma. Jest ba-
za towarowa CWD w Poznaniu.
Czemu więc — spyta naiwny
Czytelnik — nie zgromadzono
druków w poznańskiej bazie to-
warowej? Bardzo proste. Bo po-
znańska baza jest inna. To nie
jest taka sama baza jak w Byd-
goszczy. Nie mówimy: lepsza,
gorsza, lecz mówimy — inna. Po-
nieważ (cytuujemy dosłownie)
„...dla ułatwienia rozprowadza-
nia druków, CWD ustaliła pew-
ną branżową specjalność poszcze-
gólnych baz“.

I tak, baza w Poznaniu istnieje
wyłącznie na druki dla PGR, le-
śnictwa i rolnictwa. Na druki
tego typu, co zamówione przez
Zarząd Przemysłu Szkłarskiego
— najodpowiedniejsza, zdaniem
Dyrekcji CWD, jest baza w Byd-
goszczy.

A więc druki, zamówione
przez poznańską instytucję w
CWD, posiadającą oddział w
Poznaniu, poszły:

- 1) do Warszawy — dla akcep-
tacji;
- 2) do sześciu odległych miast
— dla wykonania;
- 3) do Bydgoszczy — dla bazo-
wej koncentracji;
- 4) z powrotem do Poznania —
dla odbiorcy.

Kaśliwy Czytelnik spyta może,
czy w ogóle to przepuszc-
zanie druków przez ba-
zy jest takie konieczne? —
Absolutnie konieczne — mówi
CWD — ponieważ (cytuujemy)
„...takie ustawienie daje moż-
ność bazom poznania potrzeb
odbiorców danego resortu“. Co,
dodajmy, jest tym bazom nie-
sychanie potrzebne. Np., co ro-
biłaby biedna baza bydgoska —
gdyby nie dowiedziała się, że
poznanski Zarząd Przem. Szklar-
skiego potrzebował w swoim cza-
sie jednorazowo trochę ściśle o-
kreślonych druków?

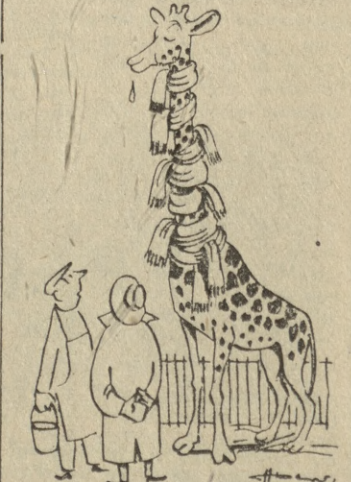
„Dlatego też — kończą autorzy
listu w zakończeniu wyjaśnienia
— taki sposób rozprowadzania
druków może wydawać się zawi-
łym labiryntem i biurokratycz-
ną formalistyką tylko pozornie.
Gdyby Wasz korespondent uzy-
skał powyższe wiadomości przed
napisaniem do prasy, to niesłusz-
nie ośmieszając nas notatką nie
byłaby zamieszczona.“

Na pewno — nie!

Wówczas byłaby zamieszczona
inna.

Daleko ostrzejsza.

JASKI



W ZOO

— Wprawdzie to duży wy-
datek, ale w ten sposób chro-
nimy ją przed gripą.

Kulał zbliżał się do krzesała,
jak do szubienicy. Pozwo-
liłem mu rozmawiać z dzie-
sięć jajek. Gadał, i gadał
mielił tym ozorem bez ustanku.
Pot spływał z niego strumie-
niami.

— Spoczęłem się, nieczym w
łóżku. Aż mi w butach chlu-
pie.

— Nie szkodzi — mówię —
bądźcie cierpliwi.

— Długo mam znieść te ka-
tusze?... Para bucha zza cho-
lewę jak z sagama... Nie mam
czym oddychać... fu... uuuu!

W godzinę później posłała mi
krew z nosa. Po dwóch godzi-
nach zbladł i jęknął:

— Kwasu... — i upadł.

Namalowałem zaledwie głó-
wę. Podobieństwo uderzające,
sam się zdziwiłem. Na drugi
dzień kulał leżał do południa
w łóżku.

Bardzo sprytnie mnie na-
malowałeś — chwali. — Przy-
jemnie popatrzyć. A ile chcia-
byś za portret bez szuby?
Okropnie w niej gorąco...

— Drogo — powiadam —
pięć pudów.

Zerwał się, chciał mnie trze-
pnać w ucho, rozmyślił się jed-
nak, naradził z gospodynią i rzekł:

— Maluj, gadzino!

Zażądałem zapłaty z góry,
posadziłem grubasa w cieniu —
miał czerwona koszulę, zega-
rek, medal — i sumiennie za-
brałem się do pracy. Jednym
słowem wszystko skończyło się
pomyślnie. Mieszkałem u niego
dwa miesiące. Zarobiłem sporo
maki i pieniędzy.

Na pożegnanie kulał powie-
dział:

— Chytra z ciebie sztuka...

Nabiłeś mnie w butelkę.

Odparłem:

— Na drugi raz nie bądźcie
takim kutwą... Forsy macie jak
łodu.

W domu stwierdziłem, że
ten przeklęty sknoro, dosypał
mi do maki sporą ilość piasku.

To i owo.

Senator Joseph Mc Carthy
witany był owacyjnie w No-
wym Jorku. Na bankiecie wy-
danym z tej okazji był obecny
Monsignore Mc Caffrey i kar-
dynał Speelman, który „uści-
snął dłoń senatora“.

„Wielki Amerykanin“ Mc
Carthy wygłosił przemówienie
przerwane często okrzykami
w rodzaju: „Mc Carthy na pre-
zydenta“, „Daj im bobu, Joe“.

Owi rozentuzjadowani oby-
watele, którzy tak witali sena-
tora oraz wzięli udział w ban-
kiecie, rekrutowali się z agen-
tów nowojorskiej policji.

Donosi o tym amerykańska
agencja prasowa United Press.

Prawdomówność zaiste nie-
zwykła!

Neutralność w interpretacji
ministra spraw zagranicznych
Japonii. Okazali oraz mini-
stra wojny gen. Kimura — po-
lega na „wzmoczeniu sił
wojskowych“.

Inaczej mówiąc: dajcie mi
samoloty, bomby, bakterie, a-
tom, wodór i nieprzeliczone dy-
wizje, a taki będę neutral-
ny, że hej!

„Nürnbergischer Nachrichten“
pisze:

„W obecnej sytuacji trudno
w ogóle mówić o suwerenno-
ści państwowej, jeśli chodzi o
cały szereg państw europej-
skich.“

Dla przykładu pismo cytuje
Holandię, która „nie może“,
nawet gdyby chciała, zlikwi-
dować obowiązek służby woj-
skowej, ani zawrzeć traktatu
handlowego na przykład z Cze-
chosłowacją.

A dlaczego „nie może“?

Bo zdaniem pisma rząd ho-
lenderski naruszyłby traktaty
zawarte ze swoimi zachodnimi
przyjaciółmi i naraziłby się na
amerykańskie represje gospo-
darcze.

Czyli... wolna Europa.



(1)
To duch jest wzniosły bardzo —
Telesfor Obojętny.
gdy widzi chuliganstwo
odwraca się ze wstremem



(2)
Interweniować — po co?
on w burdy się nie miesza.
Wtem — głowa bo! — Co to?
Ktoś z tyłu go uderza...



(3)
A potem przepisowo:
plugawy wrzask, wzrok dziki,
w brzuch nogą, w piersi głową
i „Lij mu! Lij mu!“ — ryki.



(4)
Moral — tep chuliganów,
lecz czynnie! Bo pamiętaj:
wyjdiesz, jak wyszedł na nich
Telesfor Obojętny.